

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

23

Bylbym mógł tygodnie całe wiosłować bez przerwy naokoło tej gigantycznej góry, nie dowiedziawszy się nic więcej. Chciałem już skrócić to męczące oczekiwanie i zarzucić na brzeg hak z czerwonego metalu, służący mi za kotwicę, kiedy ujrzałem w środku podnóża wielką ciemną plamę, która uczyniła na mnie wrażenie bramy lub czegoś podobnego. Drzwi te musiały prowadzić niezawodnie do wnętrza kopuły kamiennej, do głównego ogniska tego monumentalnego bloku.

Popchnąłem silnie łódź w tym kierunku i dopłynąłem wreszcie do szerokiej, w ciemnościach ukrytej, zatoki.

Ale nie odważyłem się zapuścić w to zagłębienie, szczególnie, gdy zauważyłem, że szczątki nieszczęśliwych Wampirów były tu więcej jeszcze nagromadzone, niż w innych miejscach i tworzyły rodzaj cuchnącego niemożliwie bagna, po którym roily się tysiące robaków, węzów i jaszczurek.

Oddaliłem się więc czempredziej stamtąd, ale nie bardzo daleko, bo nie chciałem stracić z oczu tej zatoki, mogącej mi, o ile mi się zdawało, posłużyć za przejście do góry, jeżeli nie znajdę lepszego. Ustaliłem się na skalistej wysepce umieszczonej po lewej stronie i próbowałem posilić się pomimo niepokoju, jaki mną wstrząsał i nieprzyjemnego uczucia mdłości. Dnia tego nic jeszcze nie jadłem, a chciałem zachować pełne siły w stanowiącej chwili. Ale pomimo szczyrych usiłowań zdołałem tylko przełknąć łyk ożywczego płynu i kilka pożywnych ziarn, znalezionych w spiżarniach galeryi podmorskich.

Z ogromnem wzruszeniem i niepokojem widziałem zbliżanie się nocy. Słońce jeszcze nie ukryło się za linią horyzontu, kiedy potężnie grzmieć zaczęło i codzienna burza rozszalała się na dobre.

Wtedy to byłem świadkiem dziwnego zjawiska. W miarę powiększania się ilości ognistych błyskawic, bijących z czarnego, ciężkimi chmurami pokrytego nieba, las o drzewach metalicznych, o którym już wspominałem, został otoczony gęstym, niebieskawym oparem elektrycznym; wierzchołki drzew tryskały snopami ognia podobnymi do tych, które w noc burzliwe marynarze obserwują na szczytach masztów. Las cały literalnie wchłaniał w siebie burzę i otaczał się magnetycznym fluidem.

Nie mogłem wcale pojąć tego niezwykłego zjawiska; ani na ziemi, ani na Marsie nie widziałem dotąd lasów podobnych, dających objawy wręcz przeciwnie wszelkim prawom natury i ich wrodzonej właściwości.

Ale wkrótce musiałem się mimowoli oderwać od tego ciekawego zjawiska; noc już zupełnie zapadła, a wiatr silny i wściekły zerwał się gwałtownie, hucząc i miotając się wokoło mojej łodzi. Ale szum ten zagłuszył nagle potężny akord okrzyków, wznoszący się od północnej strony i wzmagający się z każdą sekundą.

Uczułem, jak wszystka krew zbiegła mi do serca, a włosy zjeżyły się na głowie. Był to ostatni rozpaczliwy krzyk Wampirów, biegnących ku śmierci. Miałem teraz być świadkiem strasznego widowiska.

Odlecieli oni z wień, jak ci, których widziałem w poprzednim miesiącu i oto ten zastęp straszny, lamentujący, w obłądnej trwodze biegł unoszony rozszalałą wichurą.

Zasłaniał on już część nieba, przeszywanego błyskawicami; dobiegł mnie gorączkowy łopot ich skrzydeł i ten śmiech straszny, przeszywający do głębi.

Zdawało mi się, że te nieszczęsne stworzenia biegną ku mnie, wzywając rozpaczliwie ratunku. To było straszne, nie do zniesienia! Upadłem twarzą na piasek, pragnąłem oddalić od siebie ten widok przerażający, a jednak nie zamknąłem oczu, pociągnięty niezdrową ciekawością.

Zastęp nędznych, oszalałych stworzeń przepłynął na wysokości kilku metrów nademną i ujrzałem, jak pierwszy ich rząd wpadł do ziejącej otchłani z szybkością błyskawiczną na podobieństwo trąby powietrznej. Z pogrążonej niedawno w ciemnościach potwornej bramy buchał teraz blask fosforyzujący.

Cały ten tłum zwałił się do niej, pociągnięty niewidzialną siłą, popychając się, tłocząc, jak stado przerażonych owiec przed podwojami rzeźni. A potworna, bezwzględna góra wchłonęła całą tę rozpaczającą i błagającą o zmiłowanie czeredę.

Wkrótce okrzyki umilkły w donośnym szmerze rzeczy miażdżonych, pochłanianych z łapczywością,

a szmer ten straszny dobiegał do mnie, chociaż rękami starałem się uszy od niego zasłonić. Od czasu do czasu brama, którą nie śmię nazwać jeszcze paszczą żyjącą, wyrzucała w strumieniu krwawej piany skrzydła i macki ofiar, w których wkrótce wyrósł cuchnący stos, podobny do zbiornika olbrzymiego kanału.

A nad tym wstrętem, odpychającym dramatem, który się rozgrywał, unosiła się ciemna płachta nieba, zasianego płomiennymi błyskawicami, oświecającemi to krwawe pobojuwisko i wzburzone wściekłością, bełkocące fale morza.

Wrażenie było ponad moje siły. Posłyszałem na gły szum w uszach i straciłem przytomność.

Kiedy otworzyłem oczy, z tłoczącej się chmury Wampirów, nie było już śladu; wszystkie wpadły w rozwartą, potworną paszczę, a nademną szalała wścieklejsza jeszcze burza.

Ale przekłeta góra uległa zupełnej zmianie, której nie umiałem sobie wytłumaczyć; jaśniała teraz cała mleczną, fosforyzującą białością. Przedemną wznosił się mur mdłego światła, czyniącego przemijające wrażenie.

Nasunęły mi się na myśl owe Wampiry tropikalne, promieniejące światłem po dostatecznem nasyceniu się. I tutaj Leviathan z potwornej góry zapadł w czynność spokojnego trawienia.

Byłem zgnębiony zmęczeniem i przerażeniem, chory i całkiem pozbawiony energii. Ciekawość dawna opuściła mnie zupełnie. Miałem tylko jedno pragnienie: uciekać jak najprędzej z tego okropnego miejsca.

Ah! jakże żałowałem, że opuściłem Ziemię, dobrą, macierzyńską Ziemię, gdzie czułem się tak bezpiecznym, dla tej krwawej planety, na której prawa życiowej walki odbywały się w sposób tak bezwzględny i niewytłumaczony!

Powtarzam, dręczyła mnie obecnie tylko jedna myśl: uciekać stąd, uciekać gdziekolwiek za jakąkolwiek cenę!

Nie zwracałem nawet uwagi na burzę, która biczami błyskawic zaciniała potężne bałwany o grzywach z piany — odwiązałem łódź moją i pochwyciłem z wściekłością za wiosła, ale zaledwie posunąłem się trochę naprzód, kiedy nadpłynęła z głębin fala silniejsza, pochwyciła baręk i okręciła nią jak słomką.

Uczepiłem się rozpaczliwie brzegów i zsunąłem się z łodzią po wystającym grzebieniu bałwanów. Zastanawiam się obecnie, że tylko nadzwyczajnej lekkości mojego czoła winienem, iż uszedłem z życiem i nie zostałem wrzucony w głębiny morza.

Kilkakrotnie podrzucony zostałem brutalnie na skały wystające z wody, na ławy piasku, a potem porwany znowu falami i miotany jak piłka, wkońcu pokrył mnie całkiem większy pienisty bałwan, uczułem w dłoniach dziwne osłabienie i zagłębiłem się w przepaść.

Doprawdy nie rozumiem, dlaczego nie zginąłem wówczas!... Otworzyłem oczy pod dotknięciem ciepłych promieni słońca, bijących prostopadle na mnie. Leżałem na piasku i nasypie drobnych kamieni. Przy pierwszym ruchu, jaki uczyniłem, uczułem dotkliwie bole na całym ciele.

Byłem ubezwładniony, jak człowiek, silnie obity kijami, porobiłem sobie rany o szpiczaste, wystające kończyny skał i cały omotany byłem w jakieś długie, lepkie rośliny. Przytem wielką ilość wody morskiej, połkniętą w tej przymusowej kąpieli, sprawiała mi nieprzyjemne uczucie mdłości.

Byłem pewny, że wybiła już ostatnia moja godzina. Jednak zebrałem resztę sił i powlokłem się do miejsca bezpiecznego od napaści fal; o kilka kroków dostrzegłem szczątki mojej łodzi skorupianej, rozbitej prawie całkiem i kilka przedmiotów, które zabrałem z sobą na tę nieszczęsną wyprawę.

Przyczołgałem się na kolanach w tę stronę, ale byłem tak osłabiony, że musiałem zużyć pół godziny czasu na przebycie tej niewielkiej przestrzeni. Każdy ruch najostrożniejszy wydierał mi mimowolne jęki bólu, a przytem męczyło mnie nieznośne pragnienie.

Z uczuciem nieopisanego radości ujrzałem pomiędzy szczątkami czoła prawie nienaruszoną beczulkę bambusową, zawierającą mój drogocenny ożywczy eliksir. Po długich mękach i usiłowaniach dotarłem do niej i odwiązałem pokrywę.

Zaledwie wchłonałem kilka łyków, zaszła we mnie kojąca przemiana; uczułem powrót sił utraczonych i pewną rzeźkość umysłu i chociaż rany dolegały mi jeszcze bardzo, mogłem już powstać i dojść do szczątków łodzi, które zebrałem starannie w nadziei, że później będę mógł może naprawić w części. Chwiałem się jeszcze na nogach, a promienie słońca coraz gorętsze niepokoiły mnie coraz więcej.

Po długiej chwili odpoczynku starałem się zbadać wybrzeże, na które przed burzą wyrzucony zo-

stałem. Naprzeciw mnie, niedaleko morza, rozciągał się las mineralny o dziwnych srebrzystych połyskach, ten sam, który nocy poprzedniej ujrzałem w aureoli światła elektrycznego; poza nim, w dali paszcza jakiegoś wulkanu zionęła gęstymi kłębamii czarnego dymu, po prawej zaś stronie przekłeta góra białym swoim ciężarem zasłaniała kompletnie dalszą perspektywę.

Straszne wspomnienie nocnych scen stanęło przed moimi oczyma.

Przeszedł mnie dreszcz przerażenia i grozy, zdaje mi się, że czułbym się bezpieczniejszy w pazurach rozartego tygrysa, jak w sąsiedztwie tego wstrętnego stworzenia. Wiedziałem, że życie moje zależało od kaprysu tego krwiożerczego potwora, który mógł pochłoniąć i pożreć mnie każdej chwili, jak to czynił z całemi gromadami Wampirów. Byłem dla niego tem, czem jest mucha dla słonia.

Dziwiłem się, że jeszcze mnie raczył pozostawić przy życiu. Opanowało mnie znowu wzmożone pragnienie natychmiastowej ucieczki, bo może winienem ten chwilowy spokój tylko żarłoczności potwora, który teraz legł ociężały i syty, ale mógł się każdej chwili przebudzić do nowej uczty.

Uciekać!... ale jak? Nie widziałem dotąd sposobu, obrzuciłem zrozapczonem spojrzeniem pokaleczone i pokrwawione moje nogi i nędzne szczątki czołka. Nie mogłem przecież odważać się na wypłynięcie na pełne morze przed zupełnem wyzdrowieniem i wypoczynkiem, i nie naprawiwszy poprzednio choć w części mojej zniszczonej łodzi.

Pogrążony byłem w tych smutnych rozmyśleniach, gdy przypomniałem sobie, że płyn, zachowany w beczulce, okazać się może zbawiennym środkiem na rozognione moje rany. Zachęcał mnie do tego eksperymentu zapach jego przyjemny i balsamiczny. Poczulem natychmiastową ulgę. Piekący ból w ranach zmniejszył się i chociaż kulałem jeszcze trochę, czułem się silniejszy na nogach.

Użyłem reszty tego dnia na wypoczynek i wyławianie pozostałych mi jeszcze zapasów żywności. Przy tej czynności wielką radość sprawiło mi odnalezienie mojego opalowego kasku, który znalazłem do połowy zasypany piaskiem, a który spadł mi z głowy podczas mojej porażki wodnej.

Umieściłem go w bezpiecznem schronisku, w szczelinie skały razem z pozostałymi przedmiotami, które uszły cało przed wściekłością burzy, zapaliłem ogień dzięki soczewce, którą przy sobie miałem i upiekłem na nim dużego żółwia, upolowanego w piasku.

Pod wieczór zerwała się znowu codzienna burza, przed którą tym razem schroniłem się dostatecznie. Pod wpływem głębokiego zmęczenia a może dzięki leczniczym właściwościom mojego eliksiru, przespałem doskonale kilka godzin.

Po przebudzeniu się, czułem się dosyć pokrzepionym i zdolnym do podjęcia nowych trudów, a przynajmniej nieuciążliwej zbytnio pracy. Przekonanie, że ohydny potwór z góry ognistej spoczywa jeszcze w ociężałym trawieniu, napeliło mnie spokojem.

Przekonałem się zaraz, że dzięki pomocnej sile ognia, rozmiękczającej dostatecznie skorupy z żółwia, będę mógł jako tako połatać moje czoło i uczynić je zdolnym do dalszego użycia. Ale niestety skorupy przepalone ogniem okazały się wkrótce niezdolne do spotrzebowania, bo skurczyły się i miejscami nawet pękały. Przypomniałem sobie wówczas, że w fabrykach grzebieni [najprzód moczą materyał w gorącej wodzie, a następnie dopiero przystępują do wyrabiania go.

Ale skąd tu wziąć gorącej wody, skoro nie miałem naczyń potrzebnego. Opanowało mnie zniechęcenie, ale przemogłem się, wziąłem siekierkę i skierowałem swe kroki ku krystalicznemu lasowi, za którym widziałem krater wulkanu buchającego dymem. Bliskie sąsiedztwo wulkanu naprowadziło mnie na przypuszczenie, że może w jego okolicach natrafie na źródło wody gorącej. Posuwałem się po przestrzeni pustej, mieszczącej się pomiędzy lasem a górą. Spostrzegłem wówczas — a wierzę, najciekawsze odkrycia przyjmowałem już apatycznie i bez zdziwienia, tak wiele już bowiem widziałem tu rzeczy nadzwyczajnych i niewytłumaczonych — że drzewa nie posiadały wcale właściwego sobie wyglądu, lecz były to maszty metalowe, rozchodzące się w drobne rozgałęzienia, po największej części trójkątne.

Całość dawała wrażenie świerka o wierzchołku smukłym i szpiczastym. Podnóże każdego tego oryginalnego drzewa o formie pnia, ochronione było szklaną ścianą cwijającą się wokoło. Miałem przed sobą bór mineralny w sztuczny sposób zaprowadzony, las licznych konduktorów chroniących od uderzeń pioruna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)